

**STEFAN  
ŻEROMSKI**

WSZYSTKO I  
NIC

# Stefan Żeromski

## Wszystko i nic

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843106](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843106)

*Wszystko i nic:*

### Аннотация

Rafał Olbromski mieszka wraz z synem, Hubertem, w Wyrwach. Mimo ogromnej zamieci i śnieżycy, wyrusza wraz z nim do sąsiedniego folwarku. Po pewnym czasie okazuje się, że warunki pogodowe są tak fatalne, że obaj nie są w stanie zlokalizować ani domu, ani miejsca, do którego podróżują. Wygląda na to, że będą musieli spędzić noc w saniach, ale nagle pojawiają się sanie pocztyliona. Jego towarzysz, jak się okazuje, zmierzał właśnie do Olbromskiego. Gdy przekazuje mu tajne pozdrowienie, Rafał wie, że przeszłość da o sobie znać, a obowiązek wzywa... Stefan Żeromski jest jednym z najświetniejszych polskich twórców przełomu XIX i XX wieku. W swoich utworach często podejmował tematykę patriotyczną i nie stronił od trudnych tematów społecznych. Wszystko i nic to ocalały fragment powieści Iskry, zarekwirowanej Żeromskiemu podczas rewizji rosyjskiej żandarmerii, której pozostała część się nie zachowała.

# Stefan Żeromski

## Wszystko i nic

Ledwie się drzwi zamknęły i dwaj Olbromscy, – Rafał i syn jego, Hubert, – stanęli na ganku, wichura poczęła ich szarpać na wsze strony. Zadęty był cały ganek i pół sieni. Ciemność, choć oko wykol, niezgłębiona była wokoło. Mały Hubert brnął po zaspach, po czemś, niby dachy, i nie mógł wyjść z podziwu, że jest na znajomej drodze, wygradzonej z dwu stron parkanem do motkowskiego dworu. Z okien dworskich padały rześiste smugi światła. Dojrzał w jednym promieniu ogromnego parobka w grubym kozuchu i baraniej czapie, na której osiadła druga czapa, śniegowa, – jak trzymał u pyska Łyskę. Grzywa Łyski fruwała, a ogon niosło w bok za wiatrem. Namacali obadwaj z ojcem saneczki, dwa w nich siedzenia ze snopków kłoci okrytych kilimkami. Wszystko było śniegiem grubo zadęte. Na tylnym siedzeniu już się nawet usadowiła spora zaspą, gość nieproszony. Łyska chrapała, biła kopytami. – Wysoko, w ciemnym pustkowiu nocnego nieba, huczały wielkie topole i lipy, otaczające dwór, oraz zabudowania motkowskie. Ten głos był tak złowrogi, że lęk niepojęty serce dziecka ogarnął. Widziało się, że to jakaś dzika moc niesie się wśród poświstów górą niewidokiem ponad cichą, przyziemną siedzibą, że się z pustki polnej wydiera przeciwko światłom jej okien. Huk ciągły, jednostajny wznosił się kiedyniekiedy do niedosiętej wyżyny. Małe serce mdlało i

truchlało, poddane temu nieubłaganemu głosowi.

Parobek Walenty uspokajał kobyłkę, przemawiając do niej słowami, których drukować nie sposób. Wsunął wreszcie lejce w ręce pana Rafała Olbromskiego, gdy poznał, że się ten już umieścił na przednim siedzeniu, – i znikł wnet w nocy, przepadł w ciemności, stał się niczem, jak sama ciemność. Z ganku zabrzmiał w wicherze pożegnalny głos motkowskiego dziedzica, ale słów już nie można było rozeznąć. Wiatr je z warg porwał, uniósł w noc i jakby w śnieg cisnął. Pomknęli z miejsca. Łyska zmarznięta, schłostana od wiatru, susami wypadła z podwórza, minęła pierwszy zakręt na prawo za bramą, po chwili drugi na lewo... Sanice zatoczyły okrągły kształt dwu brzuśców litery S i pomknęły na szeroki wygon drogi ku wyrwom. Huk drzew przycichał, wnet ustał, jakby się w ziemię zapadł. Olbromski-ojciec orjentował się co do wiatru. Wiatr bił z prawego boku, od lasów i wyraźnie świstał między żerdziami obustronnego płotu tej drogi. Między temi płotami leżały zaspys niewiarygodnej wysokości. Klaczka wnet się wysiepała, kopiąc się w śniegach, choć saneczki były najlżejsze, jakie być mogły, bose, obciążone tylko dwiema z boków deskami i parą siedzeń. Dla przebycia zasp trzeba było torować szlak w śniegu sypkim, jak pył najlżejszy, ale głębokim na chłopa. Szukając drogi sposobniejszej, Łyska szła to w prawo, to w lewo, szarpała sanie, aż dyszel trzeszczał i skręcała na miejscu, gdy jej nozdrza i oczy razila zadymka, tnąca ostremi pyłami. Obadwaj podróżni pamiętali, że są w opłotkach i co chwila radzili z cicha, czy

jeszcze nie wyminęli wygonu. W pewnej chwili wątpliwość nasunęła się aż nazbyt wyraźnie. Pan Rafał Olbromski zatrzymał kobyłkę w miejscu, kazał Hubertowi wysiąść, iść na prawo i zbadać, czy na płot trafi. Mały Hub wyskoczył w śnieg, szedł jakiś czas we wskazanym kierunku, brocząc w zaspie, ale płotu nie znalazł i poprzedniego świstu między żerdziami nie słyszał. Ruszyli teraz wolniej, noga za nogą, pustkowiec, gwarząc o ciemności i wietrze, i dopytując się raz wraz nawzajem, czy im nie zimno i czy nogi nie przeziębły. Mały Hub miał dopiero lat jedenaście, ale te miejsca znał jak najstarszy ze starych. Między rodzinnymi Wyrwami a folwarkiem sąsiadów na Motku było niecałe dwie wiorsty odległości. Obiedwie habendy dzieliła rzeka, płynąca w nizinach, oraz przestrzeń nieużytków po wyciętych i wykarczowanych lasach, pełna wykrotów i pniaków, dołów i wywożonych kamieni.

W pustkowiec tam stały jeszcze tam i sam nasienne drzewa, przeważnie wielkie jodły. Każde z tych drzew Hub znał jak swoją kieszeń. Na szczycie każdego z nich był, pod każdym na coś czatował, chronił się od deszczu, albo upału. To też teraz wbijał oczy w ciemność, usiłując dostrzec znajome kształty jedli lub świerka, żeby ojca zakasować w znajomości terenu, żeby pierwszy dać znać o jarząbie z pasyjką, albo o jodle podpalanej. Lecz czas mijał, saneczki sunęły w śniegach, jak łódź po wzburzonych bałwanach, a przewidywanych znaków nie było w mrokach ani śladu.

Podmuchy wiatru ciskały na sanki istne fale. Sypało, jak z

wora miękkimi płatami, albo ciął w oczy i uszy grad ziarnisty, zacinający aż do krwi. Sanie już to chyliły się na bok, już uderzały o jakoweś twarde przedmioty podśnieżne. Międzyłesna, pustkowiana burza stawiała się coraz dziksza. W nieprzejrzanym dali ryczały przeraźliwie głosy, istne wycia leśnych djabłów. Las li to huczał, czy się waliły wody z upustów na Motku? Łyska chrapała niecierpliwie. To się zrywała do biegu susami, to znowu z trwożnym prychnieniem stawiała w miejscu. Podróżni spostrzegli, że mają wiatr za plecami. Jechali tedy w złym kierunku.

– Wiatr ją w nozdrza bije i, szelma, kręci mi się w rękach...

– rzekł pan Rafał do syna.

– Niech ją tatko od siebie i ostro, batem po nogach!

– Ba! – żebym to wiedział!... Od siebie, mówisz?

– Musimy pod wiatr, bośmy tak wyjechali.

Wzięto się pod wiatr, mimo Łyski oporu. Jechali teraz ostro, wprost w paszczę nawałnicy. Przejmujące zimno ozionęło ich, jak lodowatą wodą. Huk się wzmógł, ze wszech stron wirem pędziły kłęby kurzawy.

– Zakryj się! Skul się i owiń kilimkiem! – wołał na syna Olbromski.

Słowa te leciały porwanymi sylabami, jakby płatami, na obraz śniegu. Obiły się tępo o dziwnie przytłumiony słuch.

– Mnie ciepło! – odkrzyknął mały.

Zwinął się w sobie, ręce zasunął w rękawy bekieszy, głowę wtulił w ramiona i cieszył się z wichury, ciemności i jazdy, głównie zaś tą pewnością, że to jest jeszcze dziś, nie dzień

jutrzejczy, nie ten ohydny, fatalny, ostatni dzień godnych świąt, po którym trzeba wracać z umiłowanej strony, z domu i ukochanych rozłogów – do szkoły.

W pewnej chwili ojciec zatrzymał Łyskę. Medytował w milczeniu.

– A co, tatku? – zagadnął Hubert.

– Co u licha! Nie wiem, gdzie jestem... Niby Motki – tam. Wyrwy – tak jakby tu... Ale w takim razie powinienby już być rozdół, rzeka, most. Tymczasem, tu jakby wciąż pod górę...

– To prawda. My wciąż jedziemy pod górę...

Olbromski przez czas pewien rozmyślał bezradnie. Wicher chłostał go po twarzy nie tylko garściami śniegu, lecz i włosiem ogona kobyły, jak batem, świstał na strony. Zimno przejmowało do kości. Łyska skoczyła przed się, targnęła sanie i pomknęła pod wiatr znowu. Pędzili galopem, na oślep przez czas długi, – tak dalece długi, że można było znakomicie przejechać z folwarku do folwarku. Sanki magały się z boku na bok, leciały w jakoweś doły i wyrwy i uderzały swemi nosami w zagony. Gdy znowu przystanęli, nie słychać było nic prócz huku, lecącego górą i świstu między sanicami.

– Pole, do stu djabłów! – unosił się Rafał Olbromski. – Jesteśmy na jakimś polu... Cóż to za rola? Złej no, synku, i popatrz, w którą stronę idą zagony... Może co z tego wymiarkuję...

Hub ochotnie poskoczył, deptał tu i tam grzbiety zagonów, aż wreszcie stanowczo, niemal z tryumfem oświadczył, że

zagony idą tak i tak. Nie na wiele się to przydało. Po długim zastanowieniu zdecydowano, że skoro wiatr ciągnie stąd, a zagony idą tak, więc trzeba jechać w takim oto kierunku. Pojechali. Z zagonów sanie pomknęły na nieużytki i znowu poczęły przelewać się z boku na bok. Trafili w jakieś krzaki zupełnie nieznanym, w miejsca najzupełniej obce, nie istniejące w jakimkolwiek wspomnieniu. Zdumienie ogarnęło obydwu. Za temi zaroślami były jakoweś kamieniste wertepy, niemożliwe do przebycia i również nieznanne. Poczęło to Olbromskiego doprowadzać do rozpaczliwej pasyi. Stosując się do rady ojca, Hub wysiadł, ujął Łyskę za uzdę u pyska i jął ją prowadzić pod wiatr, żeby nie zbaczała z obranego ku domowi kierunku. Rafał Olbromski, siedząc teraz bezczynnie, nasłuchiwał, czy się w którejkolwiek stronie nie odezwie naszczekiwanie psów. Powinna była być w stronie, dokąd dążyli, wieś jedna i druga, powinny były być na uboczu kolonje czynszownicze, samotne chaty na odludziu... Nigdzie, z nikąd odgłosu życia! Hub z miłością głaskał pysk klaczy, szeptał jej do ucha sekretne słodkie słowa i odmierzał pieśczotki. Wkrótce, brnąc pod wiatr w zaspach, zdyszał się i spocił doskonale. Sprawilo mu to szczerą rozkosz. Czuł się na równi z ojcem mężczyzną, doznającym niepowodzenia, a nawet niebezpieczeństwa. Zresztą to, co się działo, było dobrem, bo dzieliło i wciąż jeszcze trzymało w oddali od fatalnego jutra. Pod nogami, w głębiach śniegu czuł pustkowie i rad był, że to jest wciąż jeszcze pustkowie, a więc miejsce dalekie od Wyrw i od Motka. Radby był iść tak przez

całą tę ziemię i przez całą noc, wzniosłą w swej świszczącej potędze, piękną w nieprzeniknionym mroku i radosną nad wszelkie słowo w swej rozpasanej dzikości. Och, radby był iść tak obok ukochanej, najmilszej Łyski na kraj świata!

Inaczej w tem pustkowiu czuł się ojciec. Wstyd go prosty palił i ogarniała wściekłość. Wałęsał się oto po przestworze, znanym jak własna izba, po dziedzinie, którą od tyłu już lat zamieszkiwał, zimą i latem po tysiäckroć przebył we wszystkich kierunkach... Było to zarazem śmieszne i głupie błąkać się w polu między Wyrwami i Motkami, gdzie z zawiązanymi oczyma każde dziecko trafi do wymienionego punktu.

W trakcie pochodu przez zasy, Hub postyszał przed sobą szczególny szum. Zrozumiał, że to huczy w wichrze wielkie drzewo. Skierował natychmiast ku niemu Łyskę i wnet mokre, grubo śniegiem obwalone gałęzie jodły, jak łapy potworne, ogarnęły go z prawej i z lewej strony. Przystanął. Ojciec zsunął się z sanek na ziemię i zbliżył do drzewa. Oglądali je obadwaj z synem, obeszl i dookoła i... po szczegółowem badaniu przyszli do jednomyślnego wniosku, że jest to jakieś drzewo zgoła nieznanome, jakby nie tamtejsze... Stojąc obok tego drzewa, które huczało swą wzniosłą i niepojętą pieśń, Rafał Olbromski przenikniony został nagle a niespodziewanie przez dawny, zapomniany lęk... Ohydne wspomnienie prześliznęło się wskroś jego duszy. Obawa o dziecko ścisnęła mu serce. Kazał chłopcu wejść na sanki, owinać przemoczone nogi kilimem, – a sam stał w zamyśleniu bezradnem obok konia. Postanowił

jedno: nie oddalać się od spotkanego drzewa. Ale czekać do rana na swem, czy sąsiedzkim polu!... Było coś obrzydliwie śmiesznego w samym zarodku tego postanowienia. Wyjechali byli ze dworu na Motku zaraz po kolacyi, więc na jakie dwie z górą godziny przed północą. Mieli tedy przed sobą do świtu dziesiątek godzin. Wahając się co czynić, starszy pan ujął klacz za uzdę i wprowadził za drzewo, zasłaniając ją tym sposobem od fali wiatru. Wziął chłopca z sanek na ręce i przeniósł go dla rozgrzewki na grzbiet kobyły. Hub siadł oklep na Łysce z radością i czule ją zaraz objął rękami za szyję. Klaczka wraz głucho, a z cicha westchnęła, – nie wiedzieć, z radości czy ze smutku, – i poddała się losowi. Ciepła para dymiła się z niej obficie.

– Nasłuchujmy, synku, szczekania psów!... – rzekł ojciec.

Słuchali tedy pilnie – pilnie. Obijały się o ich uszy zdala lecące poświsty i przyziemny huk, gdy wichur głuchemi polami gnał w międzyleśne szyje, na zamarzniete smugi i przydęte pastwiska, w doliny wśródgórskie. Głęboka do nich mówiła, samoistna moc i groźny urok obejmował dusze. Obadwaj byli zasypani śniegiem, zgrzani i wzburzeni. Nim się spostrzegli, już ich poczęło zadymać, a sąsiedk śniegowy rósł stale dokoła nóg końskich i przed saniami. Drzewo powiewało gałęzmi. Od chwili do chwili, po krótkich przerwach ciszy, działał się w niem jakgdyby taniec przedziwny, pełen pohutnego kłapania. Hub wbijał oczy w ciemność, z przestraczeniem i zdumieniem spostrzegając, jak wielkie łapy jodłowe, obleczone w grube,

białe rękawice ze śniegu, klaszczą raz wraz jedna w drugą, – «kosia – kosia – kosiana»... Zdało mu się widzieć zawodzenie czubem pijanego, głupio-ślepego – «da dyna»...

Dalsze spławy drzewne, szerokie i obwisłe, zamieć podgarniała wysoko, jakoby podół olbrzymiej spódnicy i wiewała nimi dookoła pnia. Wewnątrz włochatych gałęzi pień głucho i ponuro stękał.

Aczkolwiek jodła osłaniała od wiatru, zimno się wzmagało. Stojących bez ruchu wicher przejmował w ramionach i plecach do szpiku kości. Nogi od wielkich palców poczynało kłuć szpilkami. Śnieg stawał się coraz bardziej gęsty, sypki i zaciekły.

Pan Rafał okrył plecy chłopca kilimem, obiedwie jego nogi obrócił w jedną stronę z końskiego boku, sam przytulił się do tego boku i grzał dziecko sobą. Stopy swe w śniegu otulił drugim kilimem i tak, objawszy się, grzejąc konia i nawzajem przezeń ogrzewany, pod zasłoną drzewa przetrwać postanowił burzę. Tymczasem zadymka wciąż potężniała, a wiatr się do istotnego szału rozpętał. Ojciec raz wraz upominał synka, żeby zaś nie drzemał. Ale malcowi, właśnie jakby na przekór, śnić się poczynały różności, głowa jak kowadło ciężyła, a oczy zlepiały się, niby pod nawalą lotnych płatków śniegu. Wielka jodła śmiała się z niego niemiłym chichotem, – magał się w mroku potworny jej kadłub, jakoby obraz grubego i sprośnego chama, gdy, spity do zbydlęcenia, w czarnem karczmisku tańczy sam ze sobą w próżni i szaleństwie. Chwilami ów taniec przeistaczał się w groźne zawodzenie. Objęcia gałęzi schylały się nisko, coraz niżej.

Długie pazury, wysunięte z kosmatych białych osłon, sięgały po głowę...

Pan Rafał w półdrzemaniu czuwał wciąż nad jednym wspomnieniem. Miał w wyobraźni stada wilcze. Zaniedbał być wziąć broni ze sobą, a wilki w tej leśniej stronie nie były rzadkością. Zimową porą stada ich zagłędały na podwórza folwarków. Teraz żywiej, niż kiedyindziej, miał w pamięci zdarzenie, gdy w noc księżycową, na skutek zajadłego szczekania kundysów pod dworem wyjrzawszy oknem, zobaczył ogromnego wilka tuż pod gankiem. Przypomniały mu się najżywiej wszystkie afekty, gdy, naciągnawszy buty na bosc nogi i narzuciwszy na ramiona tylko lisiurę, wyszedł na ganek i strzelił do napastnika. Pamiętał jak pojedynek uskoczył za bramę i jak to on sam jeden – z ostatnim nabojem w lufie dwururki – pędził za nim wygradzoną drogą aż poza stodoły. Przeszedł wspomnieniem kolejno każde wrażenie gdy tak naprzeciwko siebie stali w jaskrawem świetle księżyca: wilk w polu, o kilkanaście kroków oddalony, i on sam pod wysokim parkanem za folwarcznemi stodołami. Oto śni się, że jak wtedy zmierzył do zwierza i trzyma kolbę przy policzku... Oto wilk nagłym piorunowym susem skoczył ku niemu i runął mu u nóg, gryząc krwawym pyskiem zmarznięte zagony, gdy go nieomylnym strzałem powalił.

Mrowie tamtego wspomnienia nie chciało z ramion odejść. Tkwiły wciąż w nieświadomej pamięci nieznośne obrazy bezrozumnej walki z potworem za dawnych dni młodych...

Postanowił czekać choćby do rana i nie oddalać się od drzewa, ostatniej obrony w razie napadu wilczej czeredy. Nie było to zaiste rozumowanie, lecz gorzkie czucie, – napół jasnowidzenie czegoś groźnego, co w pobliżu czyha pod zasłoną tej ciemnej nocy.

Hub coś sennie gwarzył. Głowię oparł na ojcowskim ramieniu. Wszyscy troje, nie wyłączając Łyski, cierpliwie nasłuchiwali, raz wraz podnosząc głowy i nastawiając uszy. Gdy wiatr się znagła wzmagął na obraz szaleństwa tego całego obszaru, a noc huczała, – pan Rafał otulał szczelniej derą dziecko, sam się doń przyciskał i czekał z bijącym sercem.

I oto znagła, jakgdyby wyczarowane z nicości przez niepojęte uczucie, – kędyś w nocy, daleko – daleko błysły i zgasły dwa światełka. Wnet znowu błysły – i przygasły.

– Wilcze ślepie... Czy sen?... – zmagął się w sobie Olbromski.

Wlepił w próżną noc oczy... Oto znowu: – zabłysło – przygasło!... Porwał dziecko w ramiona, – przekonany, że to nie złuda, – nie mówiąc ani słowa, otulił je w derę i chwilę jeszcze czekał, nim się rzucić i drapać po gałęziach na szczyt jodły. Głucha wewnętrzna modlitwa snuła mu się po wargach.

Dwa światełka znowu zaświeciły i zgasły. Lecz razem w podmuchu wiatru dopadł ucha tęsknoty, błogi dźwięk.

– Tatuś! – Dzwonek!... – porwał się mały.

– Tak jakby prawda... Dzwonek... – wyszeptał ojciec.

Wpatrzyli się w przestrzeń. Wsłuchali w wicher. Dojrzeli

przeciągle błyszczące dwa światła. Ujrzeni wyraźnie ich kołysanie miarowe. Usłyszeli daleki – daleki pogłos... Serca uderzyły z radości. Zaszepotali do siebie bez sensu i związku. Połysk i głos zbliżały się bardzo powoli. Czekali cierpliwie, w milczeniu. Nareszcie, gdy w ciągu kilku chwil obaj widzieli wyraźne migotanie i słyszeli daleki klangor jednotonnej melodyi dzwonka, rzucili się do sanek i pojechali co tchu na spotkanie światła. Łyska, skostniała z zimna, w cwał pobiegła.

– Kto też to tędy może jechać ze światłem i dzwonkiem? – głośno rozmyślał Olbromski.

– Może to nas Michcik szuka?

– Ale, gdzie! W najgorszym razie przypuściłby, że nocujemy w motkowskim dworze.

Coraz wyraźniej widzieli dwa kręgi światła latarni i odróżniali każde uderzenie podróznego dzwonka. Wreszcie pan Rafał okrzyknął zdala zbliżający się pojazd. Światła w miejscu stanęły. Podjechał blisko – i spostrzegł w światłach padających od latarni zady dymiące, nogi i uprząż pary koni.

– Kto woła? – spytano od światła.

– Ludzie, zbłąkani w polu. A kto to jedzie?

Nie odpowiedziano na to pytanie. Olbromski podciął Łyskę i zbliżył się do samych sanek. Oddał wodze w ręce Huba, a sam wysiadł i poszedł poza latarnie.

– Któż to jedzie? – pytał powtórnie.

– Z poczty jedziemy...

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.